



Z Moniką Dzielisiewicz i Ewą Pokas w spektaklu „Sefona”

# NINA ANDRYCZ

NASTĘPNĄ moją premierę w TV ponownie reżyserował Ludwik René. A pomysł był ambitny. Chciał służyć jednemu z największych pisarzy XX wieku – Tomaszowi Mannowi. Oczywiście, adaptacja jego prozy dla potrzeb telewizji nastęrczała o wiele większe trudności i mogła budzić pewne kontrowersyjne opinie wśród wielbicieli Manna. Na szczęście jednak normalny widz nie docieka, który wątek pominięto, a który wyeksponowano, a to przecież właśnie jemu chcieliśmy przybliżyć niełatwe dzieło Manna. Już sam temat oszukanej był, trzeba przyznać, nieprosty i może dla wielu

drażliwy. Pięćdziesięcioletnia, już przekwitająca kobieta, Róża von Tümmler, zakochuje się bez pamięci w młodym Amerykaninie, korepetytorze swego syna. Jej przyjaciela, miejscowy high-life i rodzina potępiają tę spóźnioną namiętność bez jutra. Ale Róża, wielka miłośniczka natury, uważa, że uczucie daje nie tylko psychiczne, ale i biologiczne odrodzenie. Istotnie, najnieoczekiwanej w świecie wraca jej tak zwana księżycowa niedyspozycja. Zakochana Róża bierze to za oznakę nowego rozkwitu kobiecości. Tymczasem okaże się, że to – rak. Ale kobieta uszczęśliwiona wzajemnym uczuciem mło-

dego chłopca nawet na tózu śmierci nie będzie wiedziała, jak gorzko została oszukana przez naturę.

Znany teatrolog, Jacek Frühling, zastanawiając się w swej recenzji nad ponadczasowymi walorami opowieści Manna, bo taka historia może przydarzyć się wszędzie i zawsze, pisze o mojej grze, co następuje: „Nina Andrycz w sposób niezwykle dyskretny, a równocześnie fascynujący wtajemnicza nas w skomplikowany proces porażenia późną, niepoahamowaną namiętnością. Z początku jakby zdziwiona tym wszystkim, co się w niej rozgrywa, jakby załkniona tym czemu się oprzeć nie potrafi – odrzuca w miarę rozwoju wydarzeń wszelkie więzy i konwenanse. Ale chyba największą zasługą Niny Andrycz jest to, że potrafiła ona przekształcić fizjologiczny dramat w ogólnoludzki lęk przed przemianami. Jej wiara w cud jest całkowicie szczerą i bezpośrednią. Artystka bardzo plastycznie wypowiada tekst Manna, jest prosta i ludzka. W sumie jedna z piękniejszych ról dramatycznych w dziejach naszej telewizji”.

A swoją drogą kóż dziś tak umie i komu się chce tak starannie odnotowywać telewizyjne role! Oczywiście, że i praca całego zespołu aktorskiego – Marka Perepeczki w roli Amerykanina, Władysława Krasnowieckiego – lekarza, Renaty Kossobudzkiej – powiernicy została sprawiedliwie oceniona. Po roli oszukanej moje kontakty z telewizzami, liczne koncerty i nowa fala korespondencji wyraźnie się



Jako Pani Dulska z Aldoną Dmochowską



Lady Milford w „Intrydze i miłości” Schillera

Fot. R. RÓŻYCKI

## Okres bohaterski kończy się bezpowrotnie...

nasiliły. W marcu 1967 roku zdobyłam po raz pierwszy za rolę w Teatrze TV „Srebrną Maskę” w plebiscycie „Expressu Wieczornego”, czyli nagrodę publiczną. W przyszłości będzie ich jeszcze dwie czy trzy.

Ale na razie toczy się po dawnemu trudna praca w starym studiu na Placu Powstańców, którą o tyle sobie cenię, że nie tylko rozszerzyła ona krąg moich odbiorców, ale i potrafiła czasem dać pewne satysfakcje nieosiągalne na scenie. Dotyczy to między innymi i opisywanej już „Damy Kamelowej”, która pozwoliła mi wyjść w pionier i może przede wszystkim „Miesiąca na wal” Turgeniewa. Grałam tę piękną sztukę w Teatrze Polskim z Aleksandrem Żabczyńskim jako przyjacielem domu i Ignacym Gogolewskim jako studentem. Rola Natalii ogromnie mi odpowiadała, ale tu zdarzeniu memu i dyrektora Szymana spotkała się raczej z chłodną oceną w ówczesnej prasie, co gorza – nie dociegnęła do stu spektakli. Pozostał mi więc zrozumiały niedosyt i ucieczyłam się, kiedy Teatr TV wpadł na pomysł zagrania „Miesiąca na wal” dla całej Polski, a nie tylko – jak przed laty – dla Warszawy. Premiera odbyła się w czerwcu 1967 roku. Grałówny w pięknym tłumaczeniu Pawła Hertzta i pamiętam, że spektakl telewizyjny, o czym, podobnie jak nie bardziej niż teatralny. Dotyczyło to przede wszystkim mojej interpretacji roli Natalii. Przychylił sąd Hertzta – jak się okazało – podzieliła tym razem i prasa. Krystyna Kulczyńska tak pisała w „Radu i Telewizji”: „Miesiąc na wal” pokazał, że autor „Wiśniowego sadu” Turgeniewowi zawdzięcza. (...) Dramat psychologiczny został tutaj odтворzony w sposób pełny i wiarygodny, jest opowieścią o sprawach ogólnoludzkich, o uczuciowych zwycięstwach i klęskach, o niemożliwości szczęścia i wiecznym przemianowaniu. W konflikcie tym uczestniczyliśmy dzięki intuicji psychologicznej autora i dzięki wspaniałej interpretacji aktorskiej. Na czoło wysuwa się głównie bohaterka, Natalia Niny Andrycz, która na naszych oczach – w sposób doprowdy ukazany – z niewykłą wiarygodnością – ze znużonej, upozowanej damy przemienia się w kobietę przeżywającą wielkie uczucia, porywającą szczerą i bez trudu przysięgającą się od nastroju do nastroju. Jest szczęśliwa i zalemana, ostra i miękka w wyrazie, opancerzona, gdy musi stosować typowo kobiecą taktykę, ale nigdzie się nie przejawia...” Ciesząc się również Martą Lipińską, moją młodą rywalką, Edmunda Fettinga i Andrzeja Antkowiaka (choć ja osobiście wolalam w roli studenta Gogolewskiego) recenzentka konkluduje, iż widzowie tak się przywiązali do bohaterów Turgeniewa, że aż żal się było rozstać... Miało się wrażenie,

jak gdyby wszyscy spędzili z nimi, czyli z nami, czarujący, choć smutny, miesiąc na wal. Pracowałam nad rolą Natalii wciąż jeszcze w jakimś euforycznym nastroju, jak pracuje sportowiec, który chce pobić swój kolejny rekord. Koledzy naturalnie żartowali, że dzięki „Srebrnej Masce” niedługo już zabłądzą pod strzechy, ale pamiętam, że ktoś sceptyczny postawił zgoda inny horoskop. „Zrozumcie, powiedział, że po dziesięciu latach intensywnego grania telewizja musi już nieco spowzodzić. Okres bohaterski, kiedy liczba odbiorców ciągle rośnie i wszyscy zachwyceni byli nowością techniczną – kończy się bezpowrotnie. Nasze akakanie i petzanie wokół kabli w szczytówym obłędzie odkrywców – też. Wróćcie przy ulicy Woronicza powołanie nowy, duży gmach, nowe studio i od rozwoju tej bazy technicznej uzależniony będzie cały dalszy rozwój TV. Obawiam się jednak, że wtedy może zdecydować ilość produkcji, która już nie zdąży przejść w jakość. W każdym razie dla nas, aktorów, podniecająca gra na żywo także się skończyła leda dzień.”

Niestety, wiele z tego horoskopu sprawdzi się niebawem w praktyce. Bo oto w roku 1968 z ogromnym nakładem sił i kosztów nakreśliłem duży historyczny na widownię „Naszynki królowej” według Feuchtwangera. Grałam Marię Antoninę, nieznacznie królową Francji, z Krzysztofem Chamcem jako królem i Jerzym Fozzenem. Pracowaliśmy oczywiście w Woroniczu, gubiąc się po drodze do studia w upornie długich korytarzach. Po nagraniu materiału przyjęto i wypłacono nam honoraria, ale, o grozo, taśma się prześwietliła czy też nie doświetliła – diabli wzięli – dość tego, że emisja „Naszynki” w ogóle się nie odbyła. Jestem nieco zabobonna, jak większość aktorów, i taki debiut w nowoczesnym studiu sprawił, że mój euforyczny nastrój przysiał. To samo w mniejszym czy większym stopniu odczuł zresztą wszyscy aktorzy pracujący dla telewizji. Na przykład Adam Hanuszewicz poważnie zastanawiał się nad przywróceniem „plemu żywego i rzeczy dziejących się w tej chwili”. Wszyscy prawie rozumieją, jakim niebezpieczeństwem jest chronicznie, a nieraz gwałtownie serial i dla artystów, i dla publiczności. Telewizja, jeśli chodzi o teatr poniedziałkowy, zaczęła stopniowo spadać na pozycje raczej drugorzędne, zamieniając się w nieobowiązujące domowe kino. Aktorzy – ci z uosobienia bardziej wygodni – owszem, cieszyli się, że mogą się myć bezkarnie. Jak się robi artystyczne konserwy – można się conąć, co tam poprawić, zlikwidować głos suffera. Ale aktorzy emocjonalnie zaangażowani, jak na przykład Stanisław Jeakubowicz, lub nie potrzebujący suffera, jak np. ja, martwił się, że czar

prysł, że zaczęliśmy robić po prostu małe filmki, gdzie można zacząć od sceny śmierci, a skończyć weselem. Oczywiście, że i w tym późniejszym okresie pojawiły się spektakle artystycznie dojrzałe, jak na przykład „Mistrz” Antkowiaka lub „Miesiące” Holoubka.

Wracając na moje telewizyjne podwórko – duży i przychylny odźwięk wywołał emitowany w lutym 1969 roku „Wachlarz lady Windermere” Wilde’a. Wtedy bodajże wystąpiłam po raz pierwszy już jako matka dorosłej córki, na szczęście była to uroczą Marta Lipińska. Radowałam jej dobre imię, rozraczając mnóstwo paradoksov o salono-wym życiu i o pokonaniu trudności grozących skompromitowaniem damy. A damą, czyli kimś nieskazitelnym i czującym, godnym miłości prawdziwego dzentelmena (Andrzej Szczepkowski) należało przecież pozostać za wszelką cenę. Pomocna w tych manewrach była mi obcisła, lśniąca czarna toaleta, szczerze wydekoltowana, dzieło niezawodnej Xymeny Zanie-wskiej, którą to toaletę później przez parę lat wypożyczano, nie-stety, różnym kabaretom i programom rozrywkowym.

Od komedii Wilde’a kapryśne telewizyjne losy przerzuciły mnie jeszcze raz w mroczny klimat dalekiej rosyjskiej prowincji. Zagrałam w „Burzy” Ostrowskiego, sztuce bardzo popularnej do dziś w Związku Radzieckim, ale dla naszej mentalności raczej trudnej w odbiorze. Reżyserował Jan Kulczycki. Ja grałam Katarzynę, nieszczęśliwą żonę bezwolnego kupca, która z wielkiej miłości, oczywiście, ośmieliła się go zdradzić. Kończy się to jej publiczną spowiedzią na bulwarze wobec mieszkańców miasta no i śmiercią. Nasza publiczność nie bardzo rozumiała wyżyty sumienia biednej Kasi, ale za to w prasie katolickiej (Słowo Powszechne) rozległ się głos pojmujący tę moralną rozterkę i aprobujący moje aktorstwo. Twierdzono nawet, że dziś może jeszcze tylko ja jedna potrafię udźwignąć melodramat, przemieniając go w rozprawę o sprawach ostatecznych.

W następnym sezonie telewizyjnym, a jesteśmy już w latach siedemdziesiątych, zagrałam Safonę według powieści Anny Kowalskiej. Postać tej największej poetki starożytności fascynowała mnie od dawna i to z wielu powodów. Dlaczego u szczytu sławy popeliła samobójstwo? Czy naprawdę kochała jakiegoś żeglarsza imieniem

Faon, który według kilku źródeł w ogóle nie istniał? Czym było dla niej w Domu Muz uwielbienie uczennic i miłość lesbijska? Na wszystkie te pytania usiłowałam odpowiedzieć zgodnie z duchem granej opowieści. A więc około 46 roku swego życia Safona popadła w stan, który dziś nazywamy depresją nerwową. Odczuła przemijalność swoją i świata. Śmiertelnie zlekka się starości. Brutalnie porzuciona przez młodego żeglarsza uznała, że – jak pisze Barbara Wachowicz – „zdrada gorzka jest od śmierci, więc tę ostatnią wybrała”. Żeglarsza Faona przekonywająco grał wysportowany Marek Perepeczko, mojego brata – Jerzy Kamas, a moją córką była Ewa Wawrzon. Ponieważ tragedia Safony rozgrywała się dla nas wszystkich już w nowoczesnym studiu, dajmy wiarygodne świadectwo Barbary Wachowicz o tym, jak to w praktyce wyglądało: „Warunki naszej pracy w studiu na Woronicza wolały o pomstę. Nagrywamy. Wszystko idzie gładko i bez poprawek (jedyna z dolką!!) Przerwywamy. Po naprawie kamery wysiada mikrofon na pół godziny. A czas nagrania jest, jak wiemy, ściśle ograniczony. Duszno. Nie ma czym odchycać w świetle reflektorów. Nawet poczciwy osioł, sprowadzony bodaj z ZOO, w jakimś momencie padł. Aktorzy musieli dotrzeć do końca.”

(„Ekran” 19 VII 1970 r.)

Dotrwałam i ja. Zdarzały się jeszcze ciekawe i wartościowe role, jak na przykład rola sławnej, a chorej aktorki w bardzo sugestywnym „Terrarium” – współczesnej sztuce Ireneusza Iredyńskiego. Jej romanse okazał się być bez precedensu, jako że Huta Szklana z Sandomierza wystąpiła z oficjalną propozycją do telewizji, żeby mnie i Marka Bargielowskiego, lekarza w „Terrarium”, odkomenderować do klubu huty i tam dla załogi powtórzyć całe przedstawienie na żywo. Było to z wielu powodów niemożliwe, więc zjawiał się w klubie sandomierskim też jako aktorka i jako gwiazda, ale ze sztuki Helmuta Kajzara.

Występowałam także wiele razy w programach publicystycznych, w programach autorskich czy poetyckich, po których taskami odbiorcy znowu uradowali mnie licznymi listami. Szczególnie podobał się im chyba półtoragodzinny „Mój program” w redakcji Małgorzaty Pałtasz, i niedawne spotkanie z mną w murach ukochanego Teatru Polskiego, którym opiekowała się z ramienia TV redaktor Beata Głiszczyńska.

Czy ta rosnąca ilość publicystyki i ukazujące się w druku moje książki mają wykluczyć Teatr TV? Nie, i oczywiście nadal chciałabym coś nowego przeżyć w tej dziedzinie, zwłaszcza w towarzystwie reżysera, którego mogłabym szanować, i kolegów, których lubię.